

Jestem po spotkaniu autorskim w Olsztynie. Za kilka dni podobne odbędzie się w bibliotece w Biskupcu. Zastanawiam się, jak wypadnie, czy będzie zainteresowanie, trochę się denerwuję. Przygotowuję materiały i... nagle dzwoni telefon – numer nieznany, ale odbieram.

– *Pani mnie nie zna – słyszę głos mężczyzny – ale ja widziałem panią na spotkaniu w bibliotece w Olsztynie, słuchałem opowieści o autochtonach i pomyślałem, że ja też chciałbym pani przekazać bardzo dużo ciekawych wiadomości z czasów przed- i powojennych. Nazywam się Edmund Milewski, ale urodziłem się jako Dieter Klink.*

Byłam zaskoczona, lecz szybko spytałam swego rozmówcę o datę i miejsce urodzenia – 28 lutego 1935 r. w Kętrzynie, i wiedziałam już, że koniecznie muszę z nim porozmawiać. Zaprosiłam pana Edmunda na spotkanie do Biskupca. Tam też odbyliśmy pierwszą wstępną rozmowę, z której dowiedziałam się, że gdy miał 6 miesięcy, został adoptowany przez rodzinę Milewskich. Podobny los spotkał również jego rodzeństwo.

Co pan wie i pamięta z dzieciństwa?

Po chorobie matki? Nie wiem. Wszyscy, czyli ja, moi trzej bracia i siostra, trafiliśmy do sierocińca w Rastenburgu, stamtąd do rodzin zastępczych.

Państwo Milewscy – Marta, z domu Kontowska, pochodząca z sąsiedniej wsi Sztumplak, i Franz Milewski byli Mazurami od pokoleń. Marta mówiła trochę po polsku. Mieli już trzy córki, ale bardzo chcieli mieć syna i tak znalazłem się w Wangotach¹, małym majątku koło Beżławek, i stałem się Edmundem Milewskim.

Do wybuchu wojny nasze życie upływało spokojnie. Tato pracował, mama prowadziła dom oraz opiekowała się mną i siostrami – najstarszą Hildą, Gerdą i najmłodszą Elli. Z zawodu była akuszerką i, zanim pojawiłem się w jej życiu, pracowała w reszelskim szpitalu. Siostry były starsze ode mnie, pomagały mamie w opiece nade mną i w pracach domowych. Pamiętam, że Elli zatrudniona była przez dwa lata u państwa Haritz w Staniewie. Dzisiaj mieszka w Niemczech, urodziła się w 1926 r., więc teraz ma 93 lata.

Za moich czasów gospodarstwem zarządzała pani Hildebrandt. Miała około 60 lat, była zaradną, mądrą kobietą. Nie miała rodziny, a ludzie mówili, że mąż od niej uciekł. Mieszkała w niewielkim dworku na terenie gospodarstwa.

W majątku oprócz dworku i budynków gospodarskich były trzy domy mieszkalne – jeden duży, mieszkało w nim 5 rodzin, i 2 małe. W jednym z nich mieszkaliśmy my i Polacy – rodzina Kaczyńskich z trzema córkami i synem Piotrem. Pozostałe zajmowali Kreczmannowie z córką Anni i synem Dieterem, Celepuzowie z synami Richardem i Edwardem, Cymkowie z synem Gerardem, Kisnerowie z synem Fridrichem. Razem w majątku mieszkało ponad 50 osób.

Do pomocy w pracach polowych i hodowli pani Hildebrandt zatrudniała kobiety i mężczyzn mieszkających w obejściu i w sąsiedztwie. Brygadzystą upraw roślinnych był pan Gruda. Mieszkał z żoną w pobliżu majątku, nie miał dzieci. Natomiast mój tato nadzorował hodowlę zwierząt.

W czasie wojny w wielu gospodarstwach i zakładach pracy na terenach okupowanych przez Niemców zatrudniani byli jeńcy wojenni. Ponadto pod koniec wojny do majątków na terenie Prus Wschodnich przesiedlano z Berlina i okolic bezdomne kobiety i dzieci, które po zbombardowaniu miasta nie miały szansy na normalne życie. W Wangotach zamieszkały dwie kobiety – pani Line Lenz w zaawansowanej ciąży oraz lokatorka Kreczmannów z synem.

¹ Wangoty – majątek ponad 300 ha był w 1913 roku własnością Oskara Wenera, a później, w latach 20. XX wieku Carla Friesego.

W Wangotach również pracowali jeńcy wojenni – Francuzi, było ich chyba 14. Mieli cały czas nadzieję na szczęśliwy powrót do ojczyzny i chcieli doczekać końca wojny w tym cichym, małym gospodarstwie, choć żyli w fatalnych warunkach. Nie chodzili jednak głodni i nie był to obóz – tam byłoby im o wiele gorzej.

W sąsiedztwie zatem miałem wiele koleżanek i kolegów. Kiedy podrosłem, bawiłem się z nimi. Dokazywaliśmy, graliśmy w piłkę, pikiera, palanta, w chowanego i wymyślaliśmy inne zabawy. Wędrowaliśmy po okolicznych lasach i zbieraliśmy grzyby, łowiliśmy ryby i pływaliliśmy. Był to cudowny, beztroski czas.

A wojna? Dorośli wiedzieli i my pewnie też, że trwa – ale hen daleko.

Tatę mało znałem, bo został zmobilizowany, a ja miałem tylko trzy latka. Teraz były tylko mama, ja i siostry, które też powoli zniknęły z mego życia.

Sąsiad, Piotr Kuczyński, pomocnik kowala, zakochał się w Hildzie. Dziewczyna zaszła w ciążę i urodził się Piotruś (obecnie jest właścicielem 3 piekarni w Australii).

Miejscowy donosiciel, szpicel Gruda (sąsiad) doniósł, że Polak zadał się z Niemką (za związku tego typu groziła kara śmierci). Przyszła żandarmeria polowa i wszystkich wokół pytano, gdzie są Piotr, Hilda i ich synek. Nikt nic nie wiedział (mama wiedziała). Ślad po nich zaginął. Spotkanie z żandarmami było pierwszym sygnałem, że zbliża się zło.

Wiele lat później okazało się, że Piotr z Hilde i synkiem mieszkają w Australii. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jak tam się dostali. Wkrótce po tym zdarzeniu zaginęły siostry Gerda i Elli. Po latach dowiedziałem się, że Elli dostała się do rosyjskiej niewoli i w 50 latach znalazła się w Niemczech, dokąd jeszcze podczas wojny trafiła Gerda.

Jak zapamiętał pan zimę 1945 roku i późniejsze lata?

Bardzo trudno mówić mi o czasie, kiedy u nas rządy sprawowała administracja radziecka, o bestialstwie żołnierzy radzieckich, o przerażających zdarzeniach, które wtedy miały miejsce. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie byli to przebierańcy, bo żołnierz ma honor, nie zabija bezbronnych i cywili w czasie pokoju.

Byliśmy świadkami najzwyczajniejszych morderstw, choć żadne z nich nie jest przecież zwyczajne. Nie mogliśmy znieść tego, co się wokół działo i to nie tylko w 1945 roku, ale i później. Wynieśliśmy się z Wangot i kolejnych miejsc – musieliśmy.

A co się wydarzyło?

Nie dość, że pastwili się nad nami i sąsiadami Rosjanie, to jeszcze pojawili się szabrownicy. Okradali nas ze wszystkiego, a bez taty byliśmy z mamą bezbronni. Najgorsze jednak były zdarzenia z zimy i nieco później w 1945 i 1946 roku.

Były to tak wstrząsające wydarzenia, że ludzie nie wiedzieli, dokąd uciekać przed bandytami, byli przerażeni i niepewni jutra. Żałowaliśmy oczywiście znajomych miejsc, kryjówek, sąsiadów, z którymi zżyliśmy się przez lata, zupełnie przyzwoitego i miłego życia – nie mieliśmy jednak innego wyjścia.

W Wangotach przed wojną i do 1945 roku mieszkało ponad 50 osób. Po wydarzeniach w styczniu i nieco później niektórzy zaczęli się wyprowadzać. Jak wspomniałem, rodziny Cymek i Gruda mieszkały poza majątkiem, ale pozostałe, osiadłe w obrębie Wangot, stopniowo, podobnie jak my, zaczęły opuszczać bezpieczne dotąd domy. Gdyby nie tragiczne wydarzenia, które miały wtedy miejsce, być może zostalibyśmy nieco dłużej.

Komendantura radziecka mieściła się w Bezlaweckim Dworze, skąd Rosjanie mieli blisko do sąsiednich majątków i przysiółków.

Pierwszą tragedią było samobójstwo pana Grudy. Powiesił się, ale przedtem powiesił swoją żonę. To ja odcinałem go z pętli i po dziś dzień przechodzi mnie dreszcz na tamto wspomnienie.

Gruda wiedział doskonale co go czeka, wiedział, że nie ma szans, wiedział, że zginie z rąk Rosjan albo swoich sąsiadów.

Pewnego dnia, Rosjanie już byli w majątku, kobiety zebrały się w kuchni pana Schifke. Rosyjski żołnierz smażył sobie ziemniaki na patelni i jedna z sąsiadek zaczęła coś mówić do zarządczyni siedzącej razem ze wszystkimi. Gdy kobieta dość głośno zwróciła się do pani Hildebrandt, używając słowa „bauerka”, żołnierz zareagował natychmiast – wyprowadził ją, a stary Schifke, właściciel mieszkania, poszedł z nimi. Oprowadził Rosjanina po pałacu, a ten w kuchni zastrzelił panią Hildebrandt. Gdyby kobieta niemiecka nie zdradziła, kto zarządza majątkiem, może nic by się nie stało, a tak żołnierz uznał ją chyba za właścicielkę i dlatego skończyło się to tragicznie.

Pan Schifke był kierowcą samochodu na drewno, taki cud ówczesnej techniki, woził nim mleko do Pieckowa, gdzie wtedy znajdowała się stacja kolejowa. Zwożono tam całą żywność i wysyłano w odpowiednie miejsca. Dziadek, tak nazywałem pan Schifke, był dobrym człowiekiem, poczciwym, pracowitym starszym mężczyzną. I to właśnie jego zastrzelił następnego dnia ten sam Rosjanin, który zabił zarządczynię. Za co? Bo ten nie chciał oddać mu zegarka.

W głowach Rosjan każdy właściciel czegokolwiek to wróg ludu i trzeba go unicestwić. Bestialstwo Rosjan było przerażające. A może byli to pospolici zbrodniarze, którzy musieli zabić? Może na tym polegało ich życie?

We wsi mieszkała wspomniana wcześniej Line Lenz, kobieta w zaawansowanej ciąży. Znalaziono ją w chlewie na słomie z rozplatanym brzuchem i martwym dzieckiem leżącym obok. Zrobiła to prawdopodobnie rosyjska żołnierka. Kiedy nieco później ta zbrodniarka chciała na podwórzu z pistoletu zabić świniaka, zastrzelił ją ukrywający się w pobliskim lesie niemiecki żołnierz. Wtedy też zdobyłem broń – nagana tej Rosjanki.

Pewnego dnia przez okno na strychu widziałem, jak pijani Rosjanie wyciągnęli Francuzów z ich „bunkra”. Odrąbali im palce i kazali uciekać, a potem biegnących do lasu, broczących krwią, rozstrzelali. Widok ścieżek krwi na śniegu, martwych, a może i rannych ludzi leżących jak kukły był wstrząsający. Nikt ich nie pochował, wszyscy panicznie się bali, że też zginą, gdy podejdą do zwłok.

Następnego dnia Rosjanie wytrzeźwieli, przypomnieli sobie, co zrobili, i przyjechali zabrać zwłoki jeńców. Ułożyli je w stos na saniach i wywieźli – dokąd? Gdzie i czy w ogóle ich pochowali? Nie wiadomo.

Któregoś dnia Rosjanin chciał zgwałcić lokatorkę Kreczmanów przesiedloną z Berlina. Była to wysoka, dorodna kobieta, zaczęła się bronić i została zastrzelona. Obok stał synek oniemiały z przerażenia. Zapytany o coś po rosyjsku przez bandytę nie potrafił wydobyć słowa – został także zastrzelony.

Pan Cymek przeżył wojnę. Był marynarzem w niemieckim wojsku i wrócił z angielskiej niewoli. Nie spodobał się Rosjanom, więc zastrzelili go na drodze do domu.

Jak można zostać w miejscu, gdzie dzieją się takie potworności, widzi się takie zbrodnie i takich oprawców – pijanych, bardziej przypominających bestie niż ludzi?

Niepokój budzili też szabrownicy z centralnej Polski – wpadali i przemocą, często strasząc bronią, zabierali wszystko, co popadło, ludzie byli bezbronni i bezradni.

Bandy tworzyli też żołnierze – niedobitki armii niemieckiej, napadający na gospodarstwa w poszukiwaniu przede wszystkim jedzenia.

Co pan wie o wydarzeniach w Beżławkach?

Mogłem obserwować te tragiczne wydarzenia, bo szkoły nie było. Naukę zawieszono w grudniu 1944 roku, a szczegóły pogromu w Beżławkach opowiadał mi kolega Erhard Link.

Dnia 27 stycznia około godziny 22.00 do Beżławek weszli Rosjanie. Nie mieszkałem tam wtedy, ale o wszystkim wiem od kolegi, a także stąd, co szeptali i opowiadali ci, którzy przeżyli. Mieszkańcy zostali zgromadzeni w dużej sali. Było to chyba zebranie informujące o zbliżającym się froncie, o tym, co należy zrobić, jak się zachowywać itp.

Kiedy przybyli żołnierze radzieccy, zaminowali salę. Ludzie byli przerażeni, drżeli ze strachu, myśląc, że wszyscy zginą. Po jakimś czasie jednak rozminowano pomieszczenie i wtedy dopiero zaczął się koszmar. Mieszkańcy należący do Volkssturmu rozpoczęli regularną bitwę z Rosjanami. Nie wiadomo, kto z miejscowych wydał rozkaz. Wiadomo tylko było, że zginie wielu ludzi – i rzeczywiście po obu stronach poległo ponad 200 osób. Ponieważ był mróz pochowano ich w bardzo płytkich grobach. Dopiero po latach ekshumowano szczątki pomordowanych i przeniesiono do nekropolii pod Ełkiem.

Słyszałem też o zabójstwie burmistrza i samobójstwie jednej z jego córek – Lohre Raschke. Próbowali ją ratować miejscowa pielęgniarka i rosyjski lekarz, nie udało się – straciła zbyt dużo krwi.

Miejscowy rzeźnik na wieść o wielokrotnym zgwałceniu żony powiesił się.

Na wieść o gwałtach jedna z kobiet wypruła sobie żyły i, krwawiąc, szła przed siebie. Natknął się na nią rosyjski żołnierz i chciał ją zgwałcić, ale w pobliżu stała radziecka sanitarka. Z samochodu wyszedł rosyjski oficer i zastrzelił zwyrodnialca. Miejscowa pielęgniarka i rosyjski lekarz, podobnie jak córkę burmistrza, próbowali tę kobietę ratować. Podobno uratowali jej życie.

Widok wsi po tej rzezi był przerażający: w pobliżu stodoły zamarznięty żołnierz niemiecki w pozycji strzeleckiej, wzdłuż drogi stosy trupów, w stodołach i budynkach zwłoki, wokół na śniegu krew. Z domów niósł się płacz i dochodziły odgłosy bezbrzeżnej rozpacz.

Co było potem?

W 1946 roku wciąż panoszyli się szabrownicy, przeróżne bandy i Rosjanie. Główne drogi były zaminowane. Przemieszczali się więc polnymi drogami i docierali do każdego gospodarstwa i domu. Pamiętam, że na skrzyżowaniu dróg do Reszła, Pilca i Świętej Lipki stały trzy niemieckie czołgi, wokół miny. Przed tzw. Czarną Górą² w poprzek drogi wykopano potężny rów przeciwczołgowy. Droga, a także dość duży teren wokół zostały zaminowane. Napisy o minach ostrzegały i wszystkich kierowano w stronę torów kolejowych, żeby bezpiecznie można było dotrzeć do miasta.

W Świętej Lipce mieszkało wraz z rodzinami dwóch braci o nazwisku Nyspel. Pracowali w Reszlu jako masarze. W tym czasie w Kętrzynie tworzyła się jednostka wojskowa i potrzebne było wyżywienie na potrzeby żołnierskiej stołówki. Rosjanie zgłosili polskiemu komendantowi, że mają ziemniaki w Beżławeckim Dworze, i komendant z woźnicą i dwoma rosyjskimi żołnierzami pojechali po nie. W drodze, z niewiadomych powodów – pewnie tak rozkazali Rosjanie, skręcili do obejścia braci Nyspel, a nie Beżławeckiego Dworu. Tam Rosjanie zamordowali wszystkich, komendanta i woźnicę zadźgali nożem. Dopadli też uciekających braci z rodziną. Mężczyzn zastrzelili w podwórzu, a dzieciom roztrzaskali głowy kolbami karabinów. Pani Nyspel, postrzelona w ramię i pachę, uciekała, otwór po kuli broczący krwią zatkała trawą, dobiegła do rowu obok szosy i skończyła. Z kolegą Zdziśkiem Tumińskim przenieśliśmy zwłoki na podwórze Nysplów.

O morderstwie doniesiono rosyjskiemu komendantowi. Zaczęto dochodzenie, ale potem sowieci ukreśli sprawę łeb. Ludzie mówili, że wiele lat widać było ślady krwi na ścia-

² wzniesienie przed stacją benzynową Moya

nach obory w Bezlaweckim Dworze, bo w miejscu kaźni, którym pewnie była obora, znaleziono jeszcze kilka ciał zamordowanych ludzi. Może byli to nieszczęśliwi Francuzi?

Nie wiadomo, kto pochował wszystkie ofiary mordu, porządnych niewinnych ludzi, pewnie okoliczni mieszkańcy. Ktoś z nich zwrócił się po latach do pani Elżbiety Marko, córki państwa Haritz ze Staniewa, z informacją o tym mordzie i bezimiennym zbiorowym grobie. Dlatego kilka lat temu na miejscu pochówku ofiar bestialstwa pani Elżbieta postawiła krzyż z tabliczką informacyjną. Stoi on z lewej strony drogi ze Świętej Lipki, około 1,5 kilometra w kierunku Bezlawek.

To, co się wydarzyło, spowodowało, że większość mieszkańców zaczęła stopniowo opuszczać Bezlawki – niegdyś piękną, dużą, bogatą wieś, i inne leżące w pobliżu przysiółki. Zrezygnowani, nieszczęśliwi ludzie porzucali swoje gospodarstwa, domy i wyjeżdżali albo do Niemiec, albo w nieznaną. Wspomnienia z zimy 1945 i późniejszych tragicznych zdarzeń skutecznie zniechęcały do pozostania na miejscu.

Jak dajecie sobie radę z mamą w tym czasie?

Przenieśliśmy się z mamą z prawie opustoszałych Wangot do Bertyn, a potem po pół roku do Sztumplaku. Cały czas, z przerwą w 1945 roku, chodziłem do szkoły w Bezlawkach. Za przyjaźń z Polakami, rozmowę po polsku karany byłem w szkole przez nauczyciela non stop. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego – przecież to byli moi koledzy.

W Sztumplaku mieszkaliśmy prawie sami. Rok 1946 to nędza z biedą. Cały czas grasowały bandy szabrowników, złodziei, Rosjan. Baliśmy się wszystkiego i wszystkich, na szczęście nie mieliśmy nic, więc z czasem zapanował spokój. Dokuczał nam głód. Wtedy to nauczyłem się łapać zające. Soli nie było, więc kradłem lizawki z obór, rozpuszczałem je w wodzie i soliłem mięso, zupę i każdą potrawę. Łowiłem też ryby.

Minął bardzo ciężki rok. Administracja polska dała nam mieszkanie, ziemię i zaczęliśmy gospodarzyć na roli. W dalszym ciągu byłem tylko z mamą. Tato nie wrócił z wojny, a siostry nie wiadomo kiedy i dokąd wyjechały. Dostaliśmy ziarno siewne – żyto i pszenicę od sąsiada Tumińskiego. Uratowałem jego żonę przed atakującym ją rozsierzdzonym buhajem, więc ziarno było chyba rodzajem zapłaty. Otrzymaliśmy też konia z UNRY i byłem bardzo szczęśliwy. Lubiłem wszelką pracę fizyczną: orkę, bronowanie, siew i wszelkie zabiegi agrotechniczne na naszym polu i u sąsiadów, hodowla zwierząt – to wszystko dla mnie fraszka. Pracowałem, cieszyłem się z konia, przyszyłych plonów i... krowy. Zdobyłem ją w ciekawy sposób.

Ciocia z Pastarzewa wyjeżdżała do Niemiec i powiedziała, że w jej gospodarstwie w stodole są motocykl i sieci. Motocykl był wyjątkowy – czterosuw NSU. Chcąc go przetransportować do Sztumplaku, razem z kolegą Zdziśkiem Tumińskim zdobyliśmy bańkę benzyny. Cud, że motocykl był czterosuwem, w innym przypadku bez oleju zatarlibyśmy silnik. Pchaliśmy go parę kilometrów. Zaczął pyrkać w Świętej Lipce, kiedy jechaliśmy z górki – wspaniała maszyna, ale nie dla mnie. Jeden z sąsiadów zaproponował wymianę cielnej krowy na motocykl. Z ochotą przystałem na ofertę. Ja, świeżo upieczony rolnik, będę miał krowę, a więc mleko, śmietanę, masło, twaróg – cudowne życie .

Po paru latach jednak straciłem zapał. Obowiązkowe dostawy zniechęciły mnie skutecznie do pracy na roli. Pewnego dnia w sklepie dowiedziałem się o hodowli koni w Stachowiznie. Znajomy kolega, Wacek Pietkiewicz, pomógł mi zatrudnić się przy koniach. Wkrótce przenieśliśmy się do Bezlawek i zostałem masztalerzem. Całe dni spędzałem w pracy, w stajni i na pastwisku. Świeże powietrze, piękne zwierzęta, przyjemna praca, zarabiałem.

Wtedy to pojawił się Max Klink, mój biologiczny ojciec. Odnalazł mnie w pracy w Stachowiznie. Był kilka razy ranny na wojnie, ale wydobrzeł i teraz zamieszkał w Kętrzynie. Chciał koniecznie zabrać mnie do siebie. Przywiózł zdjęcia swoje i mamy. Powiedziałem, że

go nie znam. Od niemowlęstwa wychowywała mnie mama, nigdy jej nie zostawię. Przyjeżdżał wiele razy, ale, widząc moje zdecydowanie, w końcu zrezygnował. Z tego też okresu pamiętam pewną ciekawostkę.

Mój sąsiad z Bezlówek, Szwabe, miał dwóch synów. Obaj byli w SS. Nie mógł się przyznać do tych synów z wiadomych powodów, a później oni do niego. Później okazało się, że jeden z nich pracował w obozie koncentracyjnym, gdzie rozstrzeliwano Żydów, i, w sobie tylko wiadomy sposób, uratował Żydówkę. Była córką mera miasta i dzięki niemu po jakimś czasie dostała się do Izraela. Po wojnie ten żołnierz został uhonorowany specjalnym odznaczeniem.

Pan Szwabe opowiadał mi też, że budował kwaterę Hitlera. Woził ciężarówką żwir na budowę. Udało mu się uciec z tej pracy – symulował chorobę żołądka i chyba dzięki temu ocalał własne życie.

W 1958 roku, mając 22 lata, zostałem powołany do wojska. Trochę żal mi było dobrej i dobrze płatnej pracy, ale trudno. Jak w każdym wojsku, tak tutaj też odbywała się selekcja, bo przecież w wojsku muszą być wyjątkowi, zdrowi, młodzi mężczyźni. Różne sprawdziany – ćwiczenia fizyczne, stan zdrowia, wytrzymałość psychiczna itp. spowodowały, że z 50 kandydatów zostało nas 24, a potem już tylko 12. Zostałem zakwalifikowany do lotnictwa. Szkolenie odbywało się w Ornece i lekko nie było. Codziennie 6 godzin teorii w dziale nauk, rozpoznawanie samolotów, składanie spadochronów, budowa broni, a strzelanie i musztra na końcu. Zostałem wreszcie lotnikiem, dokładnie strzelcem pokładowym. Jestem bardzo dumny z siebie – lotnictwo – toż to marzenie każdego chłopaka na całym świecie!

Po 4 latach przyszedł list z RFN i koniec moich marzeń o lataniu.

Co się stało?

Mama wyjechała do RFN, kiedy byłem w wojsku i napisała do mnie list. Okazało się, że tato założył w Niemczech nową rodzinę, a mama pojechała do sióstr.

List trafił do dowódcy. Kazano mi się spakować i wyjechać. W tamtym czasie, będąc w wojsku, nie można było mieć krewnych na zachodzie. Byłem dobrym żołnierzem, bardzo lubianym przez wszystkich, wściekałem się na swój los. Przecież jestem Polakiem, dlaczego mnie to spotyka?!

Wtedy pomyślałem z goryczą, że chyba wyjadę. Spotkałem jednak kobietę, która miała małą córeczkę, i ożeniłem się w 1964. Wyjechalśmy w okolice Pasymia. Pracowałem 5 lat w obozrze i dobrze zarabiałem. Następnie przeprowadziliśmy się do Klewek i tam zostałem zatrudniony jako traktorzysta. Potem wyjechałem do Rybna, gdzie skończyłem szkołę rolniczą – dwuzimówkę, i zdobyłem prawo jazdy na traktor, motor i samochód. Zacząłem pracować w Kozarku, gdzie byłem traktorzystą, mechanikiem, kierowcą – pracownikiem do wszystkiego. W sezonie pracowałem od rana do nocy. Tam też, po 40 latach pracy, dotrwałem do emerytury w 1992 r.

Pod koniec tego samego roku kolega zapytał, czy nie chcę jeszcze popracować. Cemu nie?

Rozpocząłem pracę jako parkingowy przy barze „Pod dębem”. Było to blisko mego domu, między Kozarkiem i Borkami, a dorobić zawsze warto.

Pamiętam z tego czasu ciekawy incydent.

Dość często włamywano się do skromnego barakowozu i okradano ze wszystkiego. Policja była bezradna. Postanowiłem pomóc koledze. Przez kilka nocy z lornetką obserwowałem barakowóz i po pewnym czasie dopisało mi szczęście. Dwóch złodziei z plecakami weszło przez dach, otworzyli drzwi i zaczęli wynosić „fanty”. Złapałem tego, który był na zewnątrz, kazałem wejść do baraku i zamknąłem obu panów, blokując wjazd przez dach. Dość

długo czekałem na pomoc – komórki nie miałem. Zatrzymywałem kilka samochodów i nic. Wreszcie jeden wjechał na parking i okazało się, że to prokurator z Biskupca. Po 15 minutach przyjechała policja. Byłem i jestem bardzo dumny z siebie na tamto wspomnienie.

Czasami nudno mi było na tym parkingu, ruch niezbyt duży, las wokół, cisza... i zacząłem wspominać, szukać w pamięci śladów rodziców, rodzeństwa. Któregoś razu przypomniałem pewne zdarzenie z Wangot.

Idę z dwoma chłopcami, trzymają mnie za ręce i nad każdą kałużą podnoszą mnie wysoko – byli to chyba moi rodzeni bracia, starsi ode mnie.

Następne wspomnienie: Wangoty – kilka razy widziałem obcą kobietę, która uporczywie z ciekawością mi się przyglądała. Może to moja biologiczna mama? Może żyje, może wyzdrowiała?

Pewnego wieczoru siedzę na parkingu, bar zamknięty. Podjeżdża samochód na niemieckich numerach. Podchodzi do mnie kobieta i łamanym językiem pyta, czy można coś zjeść, mówię, że nie. Upiera się, prosi, więc grzeję barszcz, kielbasę, a ona przygląda mi się i pyta, jak się nazywam. Zdziwiłem się, ale odpowiadam – Edmund Milewski. Biegnie do samochodu, po chwili wraca.

– Czy pan się tak zawsze nazywał? – pyta.

Odpowiadam, że nie.

– Dieter Klink to moje pierwsze nazwisko, zostałem adoptowany – mówię tym razem po niemiecku.

Kobieta prawie mdleje.

– Ja jestem Krista, pana rodzona siostra.

Zdumienie, radość, uściski. Po dziś dzień utrzymuję kontakt z cudem odnalezioną siostrą i jej rodziną. Czy taka sytuacja nie jest niezwykła?

Na parkingu pracowałem 5 lat. Później uznałem, że pracy dość i zacząłem odpoczywać. Odtąd spotykały mnie tylko przyjemności. Co jakiś czas objeżdżam miejsca mego dzieciństwa – Bezlawki i wioski, w których mieszkałem, dawne pegeery, w których pracowałem. Szukam śladów przeszłości, wspominać... Cieszę się ze swojego życia. Spotkałem wielu dobrych ludzi i mam dużo przyjaciół.

Rozwiodłem się z żoną. Z nowego związku z obecną, Elą, mam córkę Karolinę. Mieszka w Bawarii, wyszła za mąż za obywatela Niemiec. Mamy więc uroczego mądrego zięcia i dwoje ślicznych wnucząt – Adama i Livię.

Miałem dobre życie, a jeszcze wiele pięknych dni przede mną.

Wróć

<http://www.tmk.ehost.pl/sylwetki.html>